

PROLOG

Lato 886 r. n.e.

Wschód krainy Wiślan

Jak zwykle była to wina niewiast. Zawsze pchały się tam, gdzie nie trzeba. Naturalnie nie wszystkie, głównie młódki. Dojrzałe, bogobojne kobiety miały na tyle rozumu, by pozostać w domach, dbać o obojętne, zajmować się dziećmi, odziewać je i karmić. Ale tym niezamężnym chodziły po głowach durne pomysły. Zwłaszcza zakochanym. Chciały być ze swymi wybrankami zawsze i wszędzie, poleżeć za nimi w ogień. A polowanie to przecież męska rzecz.

Ranny mąż głośno jęknął i zaczął drżeć. Razem z nim trzęsła się narzucona nań góra grubych futer. Leżał zaledwie kilka kroków od ogniska, był przykryty wszystkim, co drużyna miała, a i tak telepało nim, jakby właśnie wrócił z kąpieli w przeręblu podczas najsroźszej zimy. To już nie mogło długo potrwać. Lada chwila ptaki poniosą jego tchnienie do Wyraju.

Dzierżysław przyklęknął i przyłożył do czoła woja dłoń. Było całe rozpalone i mokre od potu. Wstał więc, podszedł do ułożonych na kupę zapasów i począł szukać bukłaku z jaśniejszej skóry. Tego z mocnym, słodkim piwem, nie cienkuszem,

jakiego pili, by ugasić pragnienie. Jeżeli Imisław miał szczepnąć, niechaj przynajmniej tak nie cierpi.

– Co z nim? – spytał siedzący nieopodal książę.

Lech był postawnym mężczyzną o szerokich barkach i gęstej, jasnej brodzie. Miał ostre, niemal drapieżne rysy twarzy, co nakazywało rozmówcom mieć się na baczności, gdy tylko zaczynał mówić. Z jego wyglądem współgrał nawet odziedziczony po przodkach spłaszczony nos, zupełnie jak u jego ojca. W przeciwieństwie jednak do Kraka, nie wiedzieć czemu, Lech od młodzieńczych lat podobał się niewiastom.

– Niedobrze. Trawi go gorączka.

Kłęcząca przy rannym niewiasta zaniósła się świeżym spazmem płaczu. Durna. Gdyby nie polazła za Imisławem, gdyby nie spędzali nocy na miłosnych uniesieniach, zapewne w chwili próby woj zachowałby trzeźwość i nie dał się zaskoczyć. Polowanie na odyńca wymagało skupienia i pewnej ręki.

– Tu gdzieś niedaleko mieszkał chyba jakiś wołchw – powiedział książę.

Dzierżysław potaknął i odrzucił kilka opustoszałych sakw na bok. Przeszkadzały w poszukiwaniach.

– Bronisąd. Ale zanim go po ciemku odnajdziemy...

Lech zacisnął wargi w wąską szparę. Przez chwilę tkwił tak w bezruchu, zdradzając targające nim myśli jedynie miarowym zaciskaniem knykci.

– Szkoda Imisława. Walczył za dwóch – powiedział wreszcie.

Albo może nawet za trzech. Dzierżysław wbił nienawistne spojrzenie w szlochającą niewiastę. Po co się tu pchała, durna? Kobiety zawsze przynosiły pecha na polowaniach. Kusiły licho.

Książę powstał z powalonego konaru, owinał się swym cudzoziemskim płaszczem, położył dłoń na głowicy frankijskiego

miecza i powiódł wzrokiem po czterech siedzących przy ognisku mężczyzn. Blask płomieni wydobywał z ciemności ich poczerwiałe od błota, zasmucone oblicza. Gdyby nie przeklęta białogłowa, teraz by pili, weselili się i opowiadali wojenne historie. Zamiast tego milczeli i wbijali wzrok w ruszt, na którym piekło się cielsko dorodnego dzika, jak gdyby płaszące po przypieczonej skórze płomienie mogły udzielić im jakiejś odpowiedzi.

– Ugodził go kiel odyńca, nie grot wrażej włóczni – zaczął mówić – ale pochowamy go jak na zbrojnego przystało.

Każdy z mężczyzn potaknął w milczeniu głową. Imisław był jednym z nich. Nieraz stawał z nimi ramię w ramię w murze tarcz, walcząc z najazdami dzikich Krywiczów, podstępnych Gołęszyców czy przerażających Ludzi Stepu. Zasługiwał na godne pożegnanie.

Dzierżysław wreszcie odnalazł bukłak z jasnej skóry. Powrócił do rannego, wręczył sakwę łkającej niewieście i powiedział:

– Pój go tym.

Kobieta przytaknęła, odwiązała korek i jeła podawać kochankowi piwo. Biedak ledwo miał siłę przełykać. Co jakiś czas krztusił się i wypluwał wszystko, co miał w ustach.

Żałosny widok. Niegodny tak męznego woja. Dzierżysław odwrócił wzrok, spojrzał znów na siostrzeńca.

– Pójdę sprawdzić wartowników – rzucił.

– Dobra myśl.

Mężczyzna podniósł toporek, wsadził go za pas i poprawił ułożenie płaszcza z jeleniej skóry. Zabrał jedno z łuczyw przygotowanych przy ognisku, umieścił w płomieniach owiniętą materiałem końcówkę, a gdy ta się zajęła, opuścił polankę.

Blask pochodni wydobywał z ciemności kolejne pniaki, krzewy i powalone drzewa obrosnięte mchem oraz gałęzie.

W takiej odległości od jakichkolwiek ludzkich osad bór był gęsty i dziki, zupełnie jakby chciał zagrozić wędrowcom drogę, powstrzymać ich zakrzywionymi niczym szpony konarami przed przeniknięciem ku swemu sercu. Stopniowo swąd dymu i popiołu ustąpił miejsca zapachowi żywicy zmieszanej z lekko ziemistą wonią leśnego runa oraz paproci. Pośród wysokich koron szumiał delikatny, jesienny wietrzyk, jego monotonna melodia zdawała się nucić zwierzętom do snu.

Dzierżysław przebił się przez kilkadziesiąt kroków gęstwiny, a gdy blask pochodni oświetlił rozłożystą, starą wierzbę zagwizdał niczym potrzos. Odpowiedziało mu świergotanie pokląskwy, raczej mało udane.

– Jak tam, Braturadzie? – zawołał.

Gałęzie wierzby poruszyły się, z gęstwiny listowia wyłoniła się brodata głowa dojrzałego męża, niegdyś czarna jak noc, dziś mocno przyprószona siwizną.

– Wszystko spokojnie, wodzu.

– To dobrze – odparł Dzierżysław. – Wystarczy nam trosk jak na jeden wieczór.

Braturad zmarszczył brwi.

– Co z Imisławem?

– Gorączkuje. Pewnie nie dotrwa do rana.

Wartownik wykrzywił się w grymasie odrazy i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– A tak dobrze się bił – westchnął.

Dzierżysław potaknął. Doświadczonym wojom żadne słowa nie były potrzebne. Byli obeznani ze śmiercią, wiedzieli, że ciągle z nią igrają. Mimo to umieranie od kła dzika jawiło się jako coś niestosownego, coś przynależnego zwykłym oraczom, nie zaś dumnym włóczęgom książęcej drużyny.

Przekłęta niewiasta.

– Zmienimy cię bliżej świtu. – Dzierżysław przerwał wreszcie milczenie. – Oczy szeroko otwarte.

Braturad skinął głową i schował się z powrotem w gęstwinę liści. Nawet przy świetle pochodni pozostawał niemal niewidoczny. Jeżeli ktoś próbowałby się podkraść do obozu po ciemku, nie miał szans go wypatrzyć.

O ile najpierw nie połamałby sobie nóg na wszędobylskich korzeniach.

Dzierżysław wrócił tą samą drogą, którą przybył, zbliżając się jednak do obozu odbił nieco w lewo. Przedarł się przez gęsty zagajnik leszczyny, przeskoczył niewielki jar i zbliżył do olbrzymiego dębu. Zagwizdał niczym potrzos, a gdy z ciemnego podszytu trzmieliny odpowiedziało mu klekotanie, zawołał:

– Wszystko w porządku, Gościśławie?

Spomiędzy liści wyłonił się postawny mąż dzierżący włócznię. Przez lewą część jego twarzy biegła długa blizna po cięciu, tkwiące na jej drodze oko było zamglone, jak gdyby ktoś wlał w nie mleko.

– Cicho i spokojnie, wodzu – odpowiedział wartownik. – Co u młodego?

Dzierżysław spuścił wzrok. Czemu wszyscy musieli o to pytać?

– Źle. Gorączkuje i trzęsie się.

– Może wytrzyma. Twardy jest.

Mężczyzna przytaknął. Zawsze istniała taka szansa, choć trzeba przyznać, że dzik porządnie poharatał Imisława. Ale nie z takich opresji ludzie wychodzili.

– Może.

Gościśław zagryzł lekko wargę, odchrząknął i otworzył usta, by coś powiedzieć, ale się rozmyślił, zanim wypowiedział choćby słowo.

– O co chodzi? – spytał Dzierżysław.

– Nie, to nic, wodzu.

– Mówże.

Wartownik zacisnął pięść na swoim wisiorku z kamiennym toporem Peruna.

– Po prostu pomyślałem, że to... że to niezbyt dobra wróżba.

Wróżba? Ach tak, o to chodziło.

– Nie lękaj się, dla twojej Dobrosułki to nie pierwszyczna. Które to już?

– Szóste.

– No widzisz. Wypluwa z siebie dzieci jak kura jaja. Będzie przy niej wołchw?

Gościsław przełknął głośno ślinę.

– Gdzieś wybył – odparł.

– No a twoje siostry i bratanica?

– Obiecały, że będą czuwać.

– To nie masz się co martwić. One wiedzą, co robić, nie gorzej od wołchwa. Kiedy wrócisz do chaty, powitasz kolejnego domownika.

– Oby – odpowiedział wartownik. Jego głos leciutko drżał, słowa Dzierżysława raczej go nie przekonały.

– To żadne lichy ani zła wróżba. Imisław przywiódł na polowanie niewiastę. Sam jest sobie winien.

Gościsław zacisnął mocniej szczękę i pokiwał głową.

– Oby – powtórzył.

– Złożyłeś ofiarę? – spytał Dzierżysław.

– Koziółka.

– No to będzie dobrze. Zobaczysz. A teraz skup się na wypatrywaniu. Za jakiś czas przyślę kogoś, by cię zmienił.

– Dobrze, wodzu.

Dzierżysław ruszył z powrotem do obozu, jednak gdy zbliżył się na tyle, by słyszeć lament niewiasty, po raz kolejny

odbił w lewo. Przedarł się przez gęste krzaki malin, prześlizgnął pod powalonym pniakiem topoli, przeskoczył nad wąskim jarem i wspiął się na wzgórze porośnięte krzewami jałowca. Zagwizdał jak potrzos.

Odpowiedział mu jedynie szum wiatru buszującego w koronach drzew.

Dzierżysław zagwizdał ponownie. Nie doczekawszy się kłaskania zwrotnego, wszedł w gęstwinę jałowca, rozchylając gałęzie wolną ręką. Igły kłuły odsłoniętą skórę dłoni, ale nie zwracał na nie uwagi. Jeżeli ten półgłówek znowu zasnął na warcie...

Stopa mężczyzny natrafiła na coś ciężkiego i względnie miękkiego. Zdawało się długie i niezbyt wysokie. Zupełnie jak leżące na wznak ciało.

Rozchylając gałązki jałowca na boki, Dzierżysław przykucnął i wymacał kształt lewą ręką. Tak, to zdecydowanie było ciało. Kiedy powiodł palcami ku miejscu, gdzie powinna być głowa, natrafił na wilgoć w okolicy szyi. Wyciągnął dłoń z gęstwiny i spojrzał na nią. Była cała we krwi.

– Zasadzka! – wrzasnął ile sił w płucach i zerwał się na nogi. – Do broni!

Biegł. Pędził, ile sił. Przeskakiwał przez korzenie drzew, przedzierał się przez krzaki, pozwalając ich gałęziom i kolcom smagać się po twarzy. Po drodze zdołał jakoś wyszarpnąć zza pasa toporek.

– Do broni! – ryknął, gdy z ciemności wyłonił się odległy blask ogniska.

Odpowiedział mu dziki okrzyk i wysoki, kobiecy pisk. Kilkanaście kroków dalej uszu doszedł pojedynczy szczęk żelaza. Bogowie, nie zdążył!

Dzierżysław przedarł się przez ostatnie kępki jeżyn, wpadł na polankę i się rozejrzał.

Było ich pięciu. Dojrżeli mężczyźni w sile wieku, wszyscy brodaci i pleczyści. Czterech dzierżyło długie włócznie, piąty wymachiwał toporem i osłaniał się okrągłą tarczą z wymalowanym na licu kołowrotem. Mieli na sobie grube kaftany i skórzane czepce. Przybyli walczyć.

Ale nie trafili na ułomków. Napadli księcia Lecha i jego przybocznych, najzacieńszych wojów w całym plemieniu. Zbrojni nie spanikowali, nie pierchli w las, nie rzucili się do szaleńczego ataku. Trójka zdołała dobyć swych szczytów, stanęli obok siebie, tworząc zręby muru tarcz, osłaniając się z trzech stron jednocześnie i zbijając klingami mieczy pchnięcia wraźych włócników. Za ich plecami schronili się książę i czwarty przyboczny, czujnie wypatrując prób okrążenia. Z pleców obydwu sterzczały strzały; miejsca, gdzie grot przebił futro oraz ubranie pokryły się ciemną czerwienią, w blasku ogniska niemal czarną.

Dzierżysław wbiegł na polanę od najlepszej możliwej strony, od skrzydła napastników zamykających obrońców w półokręgu. Tuż obok potężnego włócnika, który spostrzegłszy zamieszanie za swoimi plecami, począł się odwracać.

Przewaga zasięgu dzidy nad toporem była zbyt wielka. Bez tarczy Dzierżysław nigdy nie podszedłby wystarczająco blisko, przeciwnik zdołałby go po drodze dźgnąć trzy albo i cztery razy. Na szczęście nieprzyjaciel również nie miał szczytu, dzierżył swą broń oburącz.

Dzierżysław zamachnął się i ćwiczoną setki razy ruchem, cisnął toporkiem. Broń przekoziółkowała w powietrzu, żeleźce z głośnym trzaskiem wbiło się w sam środek klatki piersiowej napastnika. Nieprzyjaciel rozdziawił gębę, lecz nie zdążył nawet krzyknąć. Nogi się pod nim ugięły i zaczął się przewracać. Zanim jednak runął na ziemię, Dzierżysław dopadł doń w dwóch susach, chwycił drzewce włócnika i wyrwał ją z bezwładnych dłoni.

Drugi z napastników odwrócił się ku niemu, zbliżył się o krok i dźgnął swą włócznią. Mierzył nisko, w podbrzusze.

Dzierżysław zdołał obrócić w dłoniach dzidę i zbić drzewiec przeciwnika w dół, ku ziemi. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, nieprzyjaciel cofnął się o pół kroku i zadał dwa kolejne błyskawiczne pchnięcia. Jedno pod kolano, drugie w prawicę.

Wiślanin odbił obydwa ciosy, za drugim razem na tyle sprawnie, że wytrącił napastnika z równowagi. Wykorzystał chwilę do natychmiastowego kontrataku, lecz przeciwnik znał się na wojaczce.

W ostatniej chwili stracił grot na bok i obrócił się, pozwalając ostrzu przejść obok swego biodra. Cofnął się o kolejny krok, wprawił szpic swojej włóczni w koliste ruchy i z napięciem obserwował każdy ruch Dzierżysława.

– Zdychaj, psie – warknął.

Jednak nie zaatakował. Być może powstrzymała go sprawność przeciwnika, a może strapiła go gwałtowność, z jaką Dzierżysław zmienił układ sił na polance. Tak czy inaczej, wahanie zmarnowało kilkanaście najważniejszych uderzeń serca. Dzierżysław nie popełnił podobnego błędu. Ruszył na przód i zasypał nieprzyjaciela gradem dźgnięć. Uderzał nisko, wysoko, od boku, udawał pchnięcia na nogi, by zaatakować głowę. Jednak zawsze płytko i szybko, tak by móc prędko powrócić do obrony.

W końcu to nie zranienie rywala było tu najważniejsze.

Nagle wtargnięcie do obozu wybiło zbójów z równowagi. Półokrąg, który utworzyli, by otoczyć księcia i jego przybocznych, stracił całe swoje skrzydło. Zniknęła możliwość wspólnego działania. Obrońcy zaś właśnie ją zyskali. Trzej wojowie ze szczytami ruszyli naprzód, osłaniając się tarczą, natarli z impetem na włóczników, którzy stracili swą przewagę

liczebną. Książę zaś i jego towarzysz wyskoczyli zza ich pleców i jęli osaczać napastników od boku.

Przez kilkanaście uderzeń serca polanka wypełniła się trzaskami drewna i łupnięciami żelaza. Szybko dołączyły do nich desperackie wrzaski. Przyboczni Lecha mogli wreszcie zająć się tym, co potrafili najlepiej.

Przeciwnik Dzierżysława rozejrzał się po polanie, zacisnął szczękę i rzucił włócznię na ziemię. Jego druhowie nie mieli na tyle szczęścia. Zanim zdolali się poddać, zostali rozbici. Ostatni padł od sztychu książęcego miecza, który wbił się w oczodół na długość dłoni.

– Poniechaj – jęknął ocalały.

Dzierżysław postąpił krok naprzód i dźgnął psubrata włócznią wprost w serce. Bezcelny głupiec. Jeżeli starcie potoczyłoby się inaczej, napastnicy nie okazaliby łaski. Nie po tym, gdy się zmiarkowali, kogo zaatakowali.

Niewiasta wciąż klęczała przy swoim wybranku, zasłaniała go własnym ciałem, jak gdyby mogła w ten sposób powstrzymać pchnięcie włóczni. Rozdziawiła gębę i wybałuszyła oczy, przeskakiwała tępym spojrzeniem od jednego mężczyzny do drugiego. Zwycięzcy wzniesli broń nad głowę i triumfalnie zawyli. Wszyscy z wyjątkiem Lecha. Książę przykucnął, podparł się jedną ręką o ziemię i jął desperacko łapać powietrze.

Serce Dzierżysława zerwało się do cwału, zalała go fala zimna. Książę był ranny! Dосkoczył do Lecha i przyklęknął obok niego na ziemi.

– Druhu, co ci? Gdzie boli?

Książę podniósł głowę. Wzrok miał zamglony, jego wargi poruszały się w dziwnie niezborny sposób, jakby żyły niezależnie od woli właściciela. Zamrugał powiekami i wycharczał:

– Mam w ustach... dziwny posmak.

– Jaki posmak?

– Jakbym... lizał żelazo.

Bogowie! Czyżby groty były zatrute? Dzierżysław przyłożył dłoń do czoła siostrzeńca. Nie było gorące. Ale przecież było jeszcze za wcześnie na gorączkę. Nic nie działało tak błyskawicznie!

– A ty? – zwrócił się mężczyzna do drugiego woja, z którego pleców wciąż sterczał promień strzały. – Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiedział zbrojny. – Tylko...

– Tylko co? – Dzierżysław popędził rannego.

– Trochę piecze.

Na sutki Dziewanny! Zatem groty były zatrute. A oni nawet nie wiedzieli, czego użyto. Czemu pozwolił sobie na zabicie poddającego się włócznika? Dzierżysław powstał z kolan i dopadł najbliższego ciała zbója. Zaczął gmerać mu w sakiewce, sprawdził pochwę noża, przyjrzał się wisiorkom na szyi i kościanej bransolecie...

Nigdzie nie było choćby śladu trucizny.

Podszedł do kolejnych zabitych i również przetrząsnął ich ubrania. W końcu przy pasie jednego ze zbójów w skórzanym zawiniątku odnalazł jakieś czernidło. Niby było płynne, ale ciągnęło się jak miód. Było całe czarne, jak dziegieć, ale pachniało zupełnie inaczej. Raczej grzybami i ziołami.

– Ktoś z was poznaje co to? – spytał, pokazując maż kolejnym zbrojnym.

Gdy jego wzrok się po nich prześlizgiwał, kręcili głowami i wzruszali ramionami. Żaden nie miał pojęcia, co to mogło być. Niedobrze. Nie wiedzieli nawet, ile mają czasu.

– Znacie wołchwa Bronisąda?

Tym razem odpowiedziały mu twierdzące pomruki.

– Powinien mieć chatę gdzieś na zachód stąd – odparł jeden z wojów.

– Poszukacie go. – Dzierżysław zaczął wskazywać ich palcem. – Ty pójdziesz na zachód, ty na wschód, ty na północ, a ty...

Nie zdołał dokończyć. Książę padł na ziemię, zaczął się trząść jak w najstraszniejszej gorączce, a jego wargi wypełniła piana zmieszana z krwią. Oczy powędrowały mu w górę, aż za powiekę, odsłaniając wyłącznie białka.

Dzierżysław rzucił się ku siostrzeńcowi, padł koło niego na kolana.

– Nie! – wrzasnął. – Tylko nie to! Bogowie, zaklinam was, uratujcie go!

Jeżeli słuchali, nie zareagowali. Lech trzepotał niczym szczupak na haku. Jego kończyny dygotały, jakby zupełnie stracił nad nimi władzę. Wytrzeszczał szeroko oczy, choć próżno było szukać w nich źrenic.

Nagle opadły z powrotem na swoje miejsce, a książę skupił wzrok na klęczącym obok Dzierżysławie. Chwycił go mocno za przedramię i wycharczał:

– Wanda. Masz jej bronić.

– Sam będziesz jej bronić – odparł. – Jeszcze jesteś nam potrzebny!

Chwył Lecha stał się jeszcze mocniejszy, niczym sznur zaciskany kręceniem drąga. Na Peruna, skąd miał w sobie tyle siły?

– Obiecaj! – warknął.

Zamknął oczy, a kiedy je otworzył, jego źrenice ponownie zniknęły. Powróciły drgawki, mocniejsze niż poprzednio. Trząśł się jeszcze przez kilkadziesiąt uderzeń serca, aż zastygł bez ruchu. Jego klatka piersiowa przestała się unosić, usta wciągać powietrze. Książę Wiślan, syn sławnego Kraka, najpotężniejszy wódz, jakiego kiedykolwiek nosiły te ziemie, właśnie umarł.

A jego wuj nie zrobił nic, by temu przeciwdziałać.

1.

Jesień 889 r. n.e.

Gród Kraka, kraina Wiślan

– Jak możesz, porządnie je rozczesz, moja droga – powiedziała Wanda. – Kleją się do siebie jak mysie ogonki.

Rościśława westchnęła. Jeżeli cokolwiek kleiło się do jasnych włosów księżnej, to tylko spojrzenia mężczyzn. Spływały z jej kształtnej głowy gęste i błyszczące niczym miód, aż po kres pleców. Niejedna niewiasta była gotowa oddać kilka lat życia, by mieć takie mysie ogonki. W ustach tak urodziwej niewiasty fałszywa skromność zakrawała na bluźnierstwo.

Niemniej Wanda nie zwykła wydawać poleceń po raz drugi. Rościśława sięgnęła do niewielkiego stolika i podniosła grzebyk. I to nie było jakie. Żaden prosty grzebień wystrugany przez ukochanego z drewna ani nawet obrobiona kość czy muszla. Wanda zasługiwała na to, co najlepsze. Książę Lech przywiózł jej z chąsby na Morawy piękny grzebyk wykonany z brązu. Dzięki wąziutkim kolcom spiżowe чудо nie tylko doskonale układało włosy, ale było też poręczniejsze i lżejsze. A do tego tak pięknie odbijało światło świec wypełniających komnatę księżnej.

Kobieta poczęła czesać włosy pani, a ta odchyliła głowę na specjalnie ku temu wystrugane oparcie ogromnej drewnianej balii i przymknęła powieki. W kamiennym palenisku tańczyły jęzory ognia, jego żar pochłaniał z trzaskiem porąbane kłody i gałęzie. Na wyłożonej deskami podłodze leżały liczne skóry: niedźwiedzie, wilcze, jelenie. W jednym z narożników stało wielkie łóż z pięknymi paprociami wyszytymi na wełnianym materiale grubego koca. Na ścianach wisiały srebrne ozdoby, spiżowe lustra oraz przywieziona z dalekich krain mozaika, prezent od jarla z osady u ujścia potężnej Wisły. Bez dwóch zdań – księżęca komnata prezentowała się równie okazale jak sama Wanda.

– Czy kuchty zdążą z ucztą? – spytała księżna.

– Na pewno – odparła Rościśława. – Kiedy u nich byłam, wszystkie przygotowania szły sprawnie.

– A miody? Dotarły?

– Jeszcze nie, pani. Ale jestem spokojna o Czcirada.

Wanda otworzyła oczy, ukazując swe wielkie, jasnoniebieskie oczy. Były niczym dwa górskie jeziora, czyste i głębokie. Choć tak jak one okresowo potrafiły być lodowate i niebezpieczne.

– Skąd taka pewność?

– Jeszcze nigdy nie zawiódł, pani. A jego miody... Wspaniałe.

Odpowiedź musiała zadowolić księżną, gdyż ponownie przymknęła powieki i pozwoliła Rościśławie się czesać. Jednak jej kark oraz mięśnie szyi pozostawały napięte, a piersi unosiły się szybciej niż zazwyczaj.

– Zdajesz się zdenerwowana, pani.

Wanda zacisnęła mocniej palce na krawędzi balii.

– Wydaje ci się – odparła.

– Nie sądzę. Najpierw martwiłaś się o smakujących trunki i jadło, potem o gęślarzy, trzeźwość strażników, następnie

zaczęłaś mnie wypytywać o przygotowane potrawy i miody... Pani, tak naprawdę chodzi o twoją niepewność...

Rościsława urwała, kiedy tylko Wanda otworzyła powieki, choć zamiast skupić wzrok na rozmówczyni, księżna wbiła go w powalę. Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

– Być może.

– Jestem o tym przekonana. Skąd ten lęk?

Wanda zwilżyła wargi językiem, przełknęła głośno ślinę.

– Nie wszyscy możni są skłonni przystać na moją propozycję.

Ah, więc o to chodziło. Wanda obawiała się o rezultat rokowań. Ale czy sprawa nie miała już być pewna?

– Świat niesie takich durniów? – spytała Rościsława.

– Zdziwiłabyś się.

Jakże to? Przecież żądni pomsty możni zostali uspokojeni, knujący przeciwko zmarłemu księciu i jego małżonce – udobruchani ustępstwami oraz podarkami, a zbrojni przywróceniu do posłuszeństwa. Wanda nie zwołałaby przecież najszacowniejszych członków wszystkich rodów Wiślan bez uprzedniego upewnienia się, że jej żądania zostaną spełnione.

– Kto śmiał się sprzeciwić?

– Kilku grodzierzyców ze wschodu. A także Rzędzimir i jego synowie...

Ręce Rościsławy aż powędrowały do ust.

– Przecież... przecież już się ukorzyli.

– Owszem, nie było to łatwe, ale udało się ich przekonać. I wciąż mogą mnie poprzeć, ale wpierw trzeba coś uczynić z tym, który ich podburza.

– Z kim, pani?

– Z Dzierżysławem.

Jakże to? Czy to możliwe, żeby cios padł z tak bliska?

– Z twoim wujem?

– Nigdy nie okazał, żeby zależało mu na książęcym mianie – odparła Wanda. – Wręcz okazywał mu publicznie wzgardę. Ale najwyraźniej przeszkadza mu, że plemieniu miałyby przewodzić niewiasta...

– Przecież tylko przez jakiś czas – uniosła się Rościsława. – Dopóki nie znajdziesz godnego małżonka.

Wanda westchnęła.

– Najwidoczniej stracił już cierpliwość.

Przekłęty drań. Jak śmiał wyrządzać podobną niegodziwość swojej rodzinie? Przecież nie mogła poślubić byle kogo. Lech okazał się godnym następcą Kraka, poprowadził Wiślan do potęgi, ale nie chroniło to krainy przed upadkiem po jego śmierci. Jeden zły ruch i mogli powtórzyć błąd Wioletów. Na samą myśl Rościsławę przeszedł dreszcz.

– Musisz do niego przemówić, pani. To nie jest głupi człek.

– To prawda. Jedynie uparty jak osioł.

– Mimo wszystko mamy zbyt wiele do stracenia.

Przez usta Wandy przemknął cień uśmiešku.

– Mamy? – spytała. – Czyżbyś się już czuła u nas jak w domu?

Rościsława wstrzymała ruch grzebienia. W skroniach zadudniło, mogłaby niemal przysiąc, że komnata wypełniła się zapachem spalenizny, tętentem kopyt i szczękiem stali.

– Nic nie zastąpi rodzinnych stron, pani – wydusiła wreszcie. – Ale czuję się w twojej służbie coraz lepiej.

– Aż tak, by mówić „my”? Nie miej mi za złe ciekawości, Rościsławo, pytam w dobrej wierze.

Służka przełknęła ślinę i podjęła czesanie włosów.

– Miałam na myśli nas wszystkich, pani – odpowiedziała po chwili. – Nie tylko Wiślan, ale wszystkie plemiona. Jeżeli się nie zjednoczymy, skończymy jak ludy nad Łabą. Pod frankijskim butem.